

Sąsiedztwo przez druty

O istnieniu obozu i o tym co się tam dzieje, wiedzieliśmy dość dokładnie, a mimo to zaskoczył mnie ten widok i poruszył do żywego. Kilku mężczyzn w pasiakach ciągnęło w górę ulicy Mickiewicza ciężki wóz, do jakiego zaprzęga się normalnie dwa silne konie. Na koźle siedział umundurowany Niemiec z karabinem gotowym do strzału, obok szedł więzień z opaską z napisem „kapo” i poganiał ciągnących. Na drugi dzień widzieliśmy ich znowu, potem niemal codziennie, czasem jeden wóz, czasem więcej. Stary budynek szkoły przy ulicy Kochanowskiego musiał przyjąć dodatkowo uczniów dwóch innych szkół, których lokale zostały zabrane przez okupantów. Nauka odbywała się więc do godzin wieczornych.

Gdy wypadały nam lekcje po południu, widzieliśmy powrót tych wozów do obozu. Więźniowie idący w zaprzęgu ślaniali się ze zmęczenia, podtrzymywali nawzajem, nieraz Niemiec czy kapo popędzali ich kijem. Bywało, że wieźli na wozach tych, którzy padli w tej pracy. Wypatrywałem za każdym razem pilnie, czy nie zobaczę brata matki, który był więziony w obozie, a rodzicom nie udawało się nawiązać z nim żadnego kontaktu. Trzeba było jednak przyglądać się dyskretnie, idąc drugą stroną ulicy i nie zatrzymując się bo groziło to pejczem kapo lub korbą karabinu Niemca. Zdarzały się już takie wypadki, byliśmy ostrożni. Dzieci z dzielnicy Dziesiąta i ze wsi Dziesiąta, przylegającej do obozu, udając się do szkoły musiały nie tylko mieć odrobione lekcje, ale przede wszystkim wiedzieć wiele rzeczy, których nie ma w żadnym programie nauczania.

Ale przecież trudniej było dorosłym, zwłaszcza tym, którzy mieszkali w bezpośrednim sąsiedztwie obozu i musieli dzień w dzień przechodzić obok drutów, obok kolumn ludzi w pasiakach, pracować, oddzieleni od nich, jedynie szerokością polnej drogi, czy też udawać się do pracy najemnej w obozie.

Majdankiem nazywano pola należące do wsi Dziesiąta pod Lublinem. Zakładając na tych polach wielki obóz śmierci, Niemcy nie kryli się z tym. Komin krematorium widać było z każdego wyższego punktu w mieście, ze wsi Dziesiąta - z każdego okna wychodzącego w tym kierunku. Najbliższe domy znajdowały się odeń w odległości 200 - 300 metrów.

Główna ulica, biegnąca przez wieś Dziesiąta, nosi nazwę Wyzwolenia. Tu ta nazwa znaczy więcej chyba niż gdzie indziej. Kiedy teraz idę tą ulicą, w miejscu, gdzie obóz zbliża się do niej najbardziej i skąd najbliżej do komory gazowej i krematorium, spotykam Wojciecha Chylińskiego,

rolnika, dziś już 63 letniego. Pracuje w polu, tak jak i wtedy, gdy nieoczekiwanie zobaczył, że zaczynają zwozić na nie materiały i stawiać baraki oraz budować ogrodzenie. Zanim je wybudowali, rozstawili gęsto patrole wzdłuż drogi. Przerwali mu robotę i bez słowa wyjaśnienia wygonili z pola. Na gruntach Chylińskiego właśnie, jego brata, Stanisława, oraz Józefa Króla, stoi krematorium. Tych, którzy mieli swoje zabudowania po tej stronie drogi, zawiadomili, by je natychmiast opuścili na zawsze. Jan Wójcik, kowal, mieszkał w maleńkiej chałupince z bali, bez fundamentów. Zaprzągnął do niej kilka koni i przeciągnął na drugą stronę drogi. Budynek mieszkalny i gospodarcze innych ludzi z tej strony drogi zostały przez Niemców rozwalone. Kilku zmuszono do obowiązkowej pracy w przyobozowym gospodarstwie rolnym, nie jako więźniów, lecz robotników najemnych, ale bez możliwości jej porzucenia. Stanisława Jałochę i Józefa Buczkę zmuszano do tego, aż do wyzwolenia. Mieszkali w obozie, a do miasta mogli wyjść tylko z przepustką.

Wieś Dziesiąta w przeważającej mierze zabudowana była po prawej stronie drogi, idąc od miasta, lecz grunta swoje miała głównie po lewej stronie, majdankowskiej. Większość chłopów z dnia na dzień znalazła się więc bez ziemi, bez pracy, a zatem z perspektywą przymusowego wyjazdu na roboty do Niemiec. Ale jeszcze bardziej przybijające było to, co teraz zaczęło się dziać na ich polach. Przywożonych tam i wyniszczanych głodem, chłodem, chorobami i ciężką robotą Żydów i jeńców radzieckich, bito aż do śmierci, rozstrzeliwano pojedynczo i zbiorowo. A potem doszli więźniowie Polacy i wielu innych narodowości. Na to wszystko patrzyła Dziesiąta - z bliska, przez szerokość drogi, za którą już były pola z kapustą, uprawiane przez więźniów, z odległości 150 metrów od drutów właściwego obozu. Jawnie obozu obserwować nie było wolno, ludzie patrzyli więc przez szczeliny pomiędzy deskami stodoł, przez szpary robione w strzechach domów.

Z początku, kiedy nie było jeszcze krematorium i komór gazowych, Niemcy mordowali więźniów tam, gdzie znaleźli najlepsze warunki do tego.

- Za stodołą Władysława Słowika był duży, naturalny dół. Przypędzali tam, lub przywozili samochodami jeńców radzieckich, ustawiali nad brzegiem i rozstrzeliwali a potem polewali czymś i palili - mówi Jan Wójcik. - Potem przenieśli się na pole Stanisława Dziwy, u którego było kilka mniejszych dołów i tam rozstrzeliwali ludzi, a także przywozili trupy i palili. Ale nawet, jak było krematorium, też tak robili. W roku 1943 na polu Słowika rozstrzelali lub pozabijali pałkami cały transport dzieci i spalili je. Ludzie mówili wtedy, że dużo z tych dzieci jeszcze żyło, gdy podpalali stos.

Chłopi z Dziesiątej jeździli stale ze swymi końmi do obozu, do pracy, co dawało im zaświadczenie do Arbeitsamtu.

Mój ojciec miał parę koni - wspomina Jan Niedziałek. - Nas było czterech braci. Ze względu na te zaświadczenia wszyscy kolejno jeździli końmi do roboty w obozie. Inni gospodarze też, w miarę możliwości, korzystali z tej okazji uchronienia się przed wywozem na roboty.

W czasie przebywania w obozie furmani z Dziesiątej stykali się często z więźniami. Przy tej okazji zawsze przekazywali im jedzenie zabrane ze sobą. Wkrótce nie tylko swoje drugie śniadania, lecz także większe ilości jedzenia oraz lekarstwa, dostarczane przez rodziny więźniów.

Edward Baran, który dziś jest oficerem, wtedy jako kilkunastoletni chłopiec brawurowo przewoził często i po kilkanaście bochenków chleba. Na Dziesiątą przyjeżdżali stale chłopci z Zamojszczyzny. Mieli chleb i słoninę, piekli z tego w mieszkaniach dziesiątaków specjalny chleb przesiąknięty tłuszczem, który potem furmani przewozili potajemnie do obozu. Dostarczano też do obozu i z obozu listy. Zajmował się tym między innymi Stanisław Golian, dziś 50-letni pracownik Zakładów Mięsnych, który znał jako tako język niemiecki i w czasie kontroli przy wjeździe i wyjeździe łatwiej mu było zagadać strażników. Chłopi poznali po pewnym czasie system zmiany warty, wiedzieli, który Niemiec skrupulatnie bada wozy i ludzi, a który pobieżnie, który łasy jest na wetkniętą mu z rękę paczkę papierosów, czy kawałek kielbasy. Niemcy sprawdzali głównie, czy furmani nie ukradli czego w obozie i nie wywożą. Dopiero potem zaczęli kontrolować dokładniej.

W późniejszym okresie patrole niemieckie krążyły nieustannie w dość dalekim promieniu od obozu. Latem 1942 roku wszystkich mieszkańców przedmieścia Dziesiąta, łącznie z dziećmi, wygoniono z domów, spędzono na jeden plac, a następnie przeprowadzono dokładną kontrolę dokumentów. Wiele osób zabrano wtedy na Majdanek, część z nich nie powróciła nigdy. Potem, w Boże Ciało, Niemcy zrobili łapankę w miejscowym kościele parafialnym. Przerwali nabożeństwo, aresztowali grupę mężczyzn. W 1943 r. w sobotę przed Zielonymi Świątkami, o świcie, Niemcy wywieźli do obozu wszystkich mieszkańców wsi Dziesiąta, oddzielili osobno mężczyzn, kobiety i dzieci i wypuścili po upewnieniu się, że nie było tam osób obcych. Mieszkańcy Dziesiątej niechętnie nocowali u siebie obcych ludzi, co zrozumiałe, w tę jednak noc kilku spało we wsi, na szczęście udało im się uciec przed pierwszymi patrolami.

Jako swój największy sukces chłopci wspominają pomoc w przedostaniu się do obozu, a potem wydostaniu stamtąd jakiegoś ważnego człowieka z ruchu oporu. Miał on ze sobą fałszywe dokumenty stwierdzające, że mieszka na Dziesiątej i jeździ sprzężajem na zarobek do obozu. Chłopi wybrali dzień, gdy w bramie stał odpowiedni strażnik i pożyczili temu z konspiracji wóz i konie. Razem z innymi wyjechał do obozu, spotkał się z więźniem, o którego mu chodziło, a potem wyjechał.

Zdarzało się, że nasze wozy używane były do transportu zwłok - wspomina Wojciech Chyliński - lecz w takich dniach nas zostawiali przy bramie wejściowej, a wozy brali od nas więźniowie. Niemcy wykładali je starymi plandekami, aby nie było śladów krwi.

Nie zawsze zabezpieczało to dostatecznie.

Nigdy nie zapomnę, jak odstawili nam z powrotem sanie, a rano zobaczyłem na nich rozmazaną krew i włosy ludzkie z kawałkiem skóry - mówi Zofia Kieliszkowa, z domu Kasprzak.

Drogą przez Dziesiątą kolumny więźniów udawały się do pracy poza obóz. Gdy nadciągali ludzie kładli na liściach, lub na kamieniach na brzegu drogi chleb; czasem więźniom udawało się go podejmować. Podawać bezpośrednio nie było wolno. Dziesiątacy porzucali też chleb na drugim skraju drogi, tuż przy drutach, za którymi pracowali więźniowie. Zdarzało się, że wartownik strzelał bez ostrzeżenia do podnoszących chleb więźniów. Wieś znała z widzenia strażników, wiedziała, kiedy można ryzykować, a kiedy nie. Ze zgrozą wspominają chłopci Niemca, zwanego Arturem, który z wyraźną satysfakcją strzelał do więźniów, oraz rudą Brygidę maltretującą przy byle okazji więźniarki. Z doświadczeń mieszkańców Dziesiątej korzystali ludzie z odległych stron kraju, którzy przyjeżdżali tu, by przez druty próbować kontaktu z bliskimi. Longin Golian wspomina niejaką pannę Skowrońską z Warszawy, która kilkanaście razy przyjeżdżała, aby popatrzeć przez druty na swego narzeczonego - aż wreszcie udało się jej to, porozumiała się z nim nawet na migi, z odległości jakichś 100 metrów. Powiedziała Golianom, że jeśli przeżyje wojnę, przyjedzie ich odwiedzić. Nie przyjechała, to znaczy nie przeżyła. Mówię panu Golianowi, że może żyje, ale zapomniała, albo tak się złożyło, że nie miała czasu... Nie, nie wierzy, w tamtych czasach nie rzucało się słów na wiatr.

Przeżywała Dziesiąta okresy radości, gdy ktoś uciekał z obozu, i niepokoju zarazem - czy nie spadną na wieś represje. Ach, jak się cieszyli, gdy uciekli dwaj jeńcy radzieccy. Roznosili oni w dzień, pod strażą, węgiel do bunkrów, położonych na zewnątrz obozu, w których w nocy stała dodatkowa warta. Skądś mieli wódkę, dali ją swemu strażnikowi, ten wszedł na chwilę do bunkra, żeby łyknąć trochę, tam związali go, zakneblowali, jeden z jeńców przebrał się w jego mundur, wziął broń i tak wyprowadził drugiego w kierunku lasów w Zemborzycach. Albo gdy uciekł Tadeusz Malaj, ich, z Dziesiątej, chłopiec. Ubierał się podobnie, jak wielu Niemców - cywilów: w spodnie do konnej jazdy, skarpety, trzewiki i zielony kapelusz z piórkiem. Wylegitymowano go, a ponieważ nie miał żadnych dokumentów, zabrano na Majdanek. Którejś nocy razem z dwoma innymi przerzucili koce przez druty i uciekli. Jednego zastrzelili Niemcy zaraz za drutami, jednego złapali na drugi dzień, a Malaj przesiedział w dole kloaczny, aż pogoń ustała, i udał się do rodziny pod Piaski Luterskie, gdzie potem zaczął uciekać na widok spokojnie kroczonego patrolu żandarmerii i został zastrzelony. Stanisław Jędrusiak, po którego przyjechali do domu i zabrali nie pozwalając nawet włożyć jednego buta, wyrwał im się na ulicy i biegnąc zygzakami uciekł, choć strzelali doń z automatów: niestety wpadł potem w ręce przypadkowego patrolu.

Jeden z mieszkańców Dziesiątej pomógł ukryć się młodej Żydówce, gdy wraz z innymi prała obozową bieliznę w pobliskiej Czerniejówce. Schował ją pod mostem, potem u siebie w domu, wreszcie wyrobił jej fałszywe papiery i wziął z nią ślub w kościele na Dziesiątej. Do końca wojny mieszkała we wsi, wszyscy ją widzieli, do Niemców nie doszła jednak żadna wiadomość. Tu nie podaję nazwisk, gdyż po wojnie kobieta owa porzuciła męża i razem z nieletnią córką z tego małżeństwa wyjechała za granicę. Na Majdanku siedzieli Antoni Raczkowski, Antoni Kozak, Stanisław Mazur, Piotr Małek. W obozie zginęli: Jan Jałocha, Jan Raczkowski, Ludwik Dyżma,

Aleksander Ziarno, Piotr Malaj.

Przez te kilkanaście lat wieś dzień w dzień patrzyła na ludobójstwo, jakiego nie znały dzieje. Ciężki dym z krematorium kładł się na dachy domów i liście drzew. Swąd był tak przenikliwy, że jabłka na strychach - jeśli nie zostały szybko zjedzone, czy nie skarmiono nimi bydła - przesiąkały nim tak, że po dłuższym leżeniu nie nadawały się do spożycia.

Dziesiąta była świadkiem tak wielkich egzekucji, jak ta w listopadzie 1943 roku. Nic jednak chłopów tak nie wstrząsało jak egzekucje dzieci. Ich płacz i ich modlitwy. Płacz i modlitwy nie wpływały na zbrodniarzy. Nie dawali zresztą swym ofiarom nawet możliwości skorzystania z ostatnich posług religijnych. Nie było ani razu wypadku, by do obozu został wpuszczony ksiądz - oczywiście, nie licząc tych, którzy weszli doń jako więźniowie. Proboszcz parafii Dziesiąta, ksiądz prałat Ignacy Żyszkiewicz był w czasie wojny delegatem Kurii Biskupiej do Zarządu Okręgu PCK, a potem pełnomocnikiem Zarządu Głównego PCK na woj. Lubelskie (funkcji prezesa Zarządu Okręgu wtedy nie było). W ramach możliwej wówczas działalności PCK, przekazując pewne ilości lekarstw do obozowego szpitala, czy nawet słomę do spania dla najciężiej chorych, starał się o przesłanie komunii w ręce księży więzionych na Majdanku.

Według obliczeń proboszcza parafia Dziesiąta (obejmująca przedmieście Dziesiąta, wieś Dziesiąta i dzielnicę nazywaną się wtedy Bychawska) liczyła w czasie wojny około 9 tys. osób. W obozach i więzieniach zginęło około 700 osób - nie licząc tych, którzy polegli na froncie, lub zginęli pod bombami. Dziesiąta, która żyła w cieniu krematorium, płaciła ciężką daninę krwi.